

MARCIN HLEBOWICZ
Warszawa

HISTORYK I METODOLOGIA¹

Abstract

Marcin Hlebowicz, *Historian and Methodology*.

Author discusses Edward A. Mierzwa's textbook intended as an introduction to historical studies.

Co należy zrobić, gdy „zostaliśmy niemile poruszeni po przeczytaniu jakiejś pozycji i chcemy autora wyprowadzić z błędu”? Edward A. Mierzwa proponuje napisanie recenzji krytycznej. Uwagi poniższe dotyczą książki, z której pochodzi cytat (s. 132) i realizują zalecenie jej Autora.

Omawiana praca została pomyślana jako systematyczne wprowadzenie do badań historycznych. Składa się z trzech głównych części. Pierwsza dotyczy historiografii oraz nauki w ogóle, zawiera także opis studiów historycznych wraz z zestawem praktycznych porad — uwagę zwraca krótki kurs szybkiego czytania. Część druga informuje o warsztacie pracy historyka (literatura naukowa, biblioteki, archiwa itd.) oraz naukach pomocniczych i „wspomagających”. Autor umieszcza tu również rozważania o źródłach historycznych i periodyzacji. W części trzeciej mowa jest o zagadnieniach związanych z formułowaniem problemu badawczego, krytyką źródeł, stawianiem hipotez i ustalaniem faktów historycznych. Książkę zamyka rozdział poświęcony regułom pisania tekstów naukowych.

Projekt jest ambitny — stąd zapewne dumny tytuł, nawiązujący m.in. do klasycznych dzieł Lelewela i Handelsmana. Edward A. Mierzwa zaznacza, że jego *Historyka* ma ukazać przede wszystkim „zasady postępowania praktycznego” — problematyka teoretyczna zostaje ograniczona do „niezbędnego minimum” (s. 8–9). Takie rozłożenie akcentów nie dyskwalifikuje pracy, chociaż wyraźnie odbiega od aspiracji poprzedników olsztyńskiego historyka.

Nawet przegląd „niezbędnych zagadnień teoretycznych” (s. 9) wymaga jednak pewnego rozeznania w zakresie logiki, semiotyki i ogólnej metodologii nauk. Autorowi

¹ E. A. M i e r z w a, *Historyka*, Wydawnictwo Pedagogiczne ZNP, Kielce 1997, s. 344.

Historyki tych kompetencji zabrakło. Pokazuje to m.in. fragment podrozdziału *Nauka a wiedza*:

nauka zatem ma szerszy zakres treściowy, co oznacza, że „wiedza” jest tylko jednym z desygnatów, czyli jednym z przedmiotów charakterystycznych dla danego pojęcia, w znaczeniu myślowym desygnat odpowiada jednemu z wyrazów, składających się na określone pojęcie. (s. 27)

Wcześniej Mierzwa wspomina o „obudowywaniu pojęć desygnatami” (s. 13), pisze także:

... ten termin [„dyscyplina naukowa” — przyp. M.H.] traktowany jako desygnat, czyli część składowa pojęcia „nauka” może być utożsamiany z określoną dziedziną nauki. (s. 20)

W najlepszym razie jest to fałsz, przy mniej życzliwym podejściu — bełkot. Nauka nie posiada zakresu treściowego, nie jest bowiem wyrażeniem językowym. Wiedza, pojmowana ogólnie, nie jest desygnatem nazwy „nauka” przy żadnym z jej znaczeń — nie jest nim również słowo „wiedza”. Wywody o „desygnacie w znaczeniu myślowym”, „obudowywaniu pojęć desygnatami” i „desygnacie, czyli części składowej pojęcia” są po prostu niezrozumiałe². Nie wiadomo także, na czym polegać ma utożsamienie wyrażenia „dyscyplina naukowa” z tym, do czego się ono odnosi.

Rozdział poświęcony metodom badawczym rozpoczyna opis „metod logicznych” (s. 299). Zwodniczej charakterystyce dedukcji („z ogólnego wniosku przechodzimy niejako w głąb, do szczegółów”)³ towarzyszy pomieszanie tradycyjnych określeń należących do metodologii historii z terminologią logiczną. Mierzwa pisze, że metoda indukcyjna „polega na przechodzeniu od faktów jednostkowych do uogólnień” i dodaje: „ta metoda, zwana czasem metodą bezpośredniego ustalania faktów, jest powszechnie stosowana w badaniach historycznych” (s. 299). Problem w tym, że przejście od informacji źródłowej do twierdzenia o fakcie historycznym ma niewiele wspólnego z indukcyjnym uogólnieniem. Autor *Historyki* daje się zwieść niefortunnej, dawno już zarzuconej terminologii („indukcyjna metoda ustalania faktów historycznych”). Efekt jest żałosny — czytelnik dowiaduje się najpierw, że rezultatem indukcji są uogólnienia, by następnie przeczytać, iż zazwyczaj służy ona „ustaleniu faktów jednostkowych, natomiast uogólnień dokonuje się z pomocą dedukcji” (s. 300).

Gdy Autor przywołuje znany podział na pytania rozstrzygnięcia i dopełnienia, zalicza do tych ostatnich zdania rozpoczynające się od partykuły pytajnej „czy” (s. 273) — całkowicie deformuje w ten sposób sens prezentowanej dystynkcji⁴.

W rozdziale XIX Edward A. Mierzwa wprowadza trzy kategorie: fakt historyczny, źródłowy i historiograficzny. Jednocześnie krytykuje „przytoczoną przez Topolskiego

² Przypomnijmy: desygnat danej nazwy (w pewnym języku i przy pewnym jej znaczeniu) to każdy przedmiot, o którym można tę nazwę zgodnie z prawdą orzec.

³ Dedukcja (we współczesnym ujęciu) nie polega na przechodzeniu „od ogółu do szczegółu”. Nie jest również tak, że w rozumowaniach dedukcyjnych „tylko prawdziwe przesłanki są podstawą do wyciągnięcia prawdziwego wniosku” (s. 300).

⁴ Pytania rozpoczynające się od partykuły „czy” to pytania rozstrzygnięcia — wszystkie inaczej zbudowane pytania zwane są pytaniami dopełnienia.

próbę rozszerzenia definicji” faktu historycznego (s. 308). W *Metodologii historii* Jerzy Topolski wskazuje na wieloznaczność wyrażenia „fakt historyczny” — wspomina m.in. o rozumieniu ontologicznym i epistemologicznym⁵. Podkreśla, że „fakt historyczny” w tym drugim znaczeniu jest często traktowany jako synonim „faktu historyograficznego”. Autor *Historyki* opacznie pojmuje sens tych uwag. Nie dotyczą one niczego, co daje się opisać jako „próba rozszerzenia definicji”. Rzecz w tym, iż wielu badaczy, głównie anglosaskich, stosuje wyrażenie „fakt historyczny” właśnie (i tylko) w odniesieniu do językowej konstrukcji historyka, której ma odpowiadać pewien fragment przeszłości — zdarzenie. Myli się tedy Mierzwa, gdy powiada:

wychodząc z takiego rozumowania powinniśmy fotografię przedmiotu traktować jak sam przedmiot, a to byłoby raczej mało sensowne. (s. 308)

W grę nie wchodzi tu bowiem żadne rozumowanie, w szczególności zaś takie, które prowadzi do osobliwego (nawet dla konstruktywistów) utożsamienia minionego zdarzenia z jego opisem. Cała sprawa dotyczy okoliczności dobrze znanej, nieraz przy tym kłopotliwej — istnienia wyrażeń wieloznacznych.

Autorowi fakt ten sprawia szczególne trudności. W rozdziale *Pojęcie nauki* czytamy: „termin «nauka» jest rozumiany i definiowany różnie, wieloznacznie. Oznacza to, że nie potrafimy precyzyjnie powiedzieć, co to jest nauka” (s. 18). Z tego, że „nauka” jest słowem wieloznacznym (np. „nauka języka” — „nauka o języku”) nie wynika wcale, iż nie możemy podać zadowalającej definicji tego wyrażenia przy pewnym jego rozumieniu.

Sposób, w jaki Mierzwa posługuje się pojęciami logicznymi i semiotycznymi, pozostawia wiele do życzenia — co gorsza, autor sam popełnia poważne błędy formalne. Proponuje podział źródeł historycznych na materialne, pisane i duchowe. Optymistycznie uznaje, że jest on „pojemny”, „zwięzły” i łączy „wszystkie kryteria podziału” (s. 176–177). Źródła pisane mają obejmować m.in. tabliczki, ostraki i indiańskie kipu — są to bez wątpienia przedmioty o „trwałej strukturze materialnej”, należą więc również do źródeł materialnych. Autor sam przyznaje: „źródła pisane mają, szczerze mówiąc, dwojaki charakter” (s. 177). Zapomina tylko, że jego podział nie spełnia *eo ipso* warunku rozłączności — to zaś wystarcza, by uznać go za niepoprawny⁶.

Autor *Historyki* należy do zwolenników realizmu historycznego. Nie trzeba być przeciwnikiem tego stanowiska, by za dziwne uznać przekonanie, że fakt historyczny

... jako cząstka ogólnego rozwoju dziejów, jako obiektywna rzeczywistość, która zaistniała w przeszłości (...) jest zasadniczym elementem i punktem wyjścia procesu badawczego w nauce historycznej. (s. 309)

⁵ J. Topolski, *Metodologia historii*, Warszawa 1984, s. 184.

⁶ Mierzwa z aprobatą przywołuje uwagę Handelsmana o braku wyraźnych granic między poszczególnymi kategoriami źródeł (s. 173) — uznaje być może, że sankcjonuje ona podziały, które nie spełniają kryteriów poprawności formalnej. Warto w tym miejscu przypomnieć słowa J. Giedymina: „jeżeli (...) dystynkcje nie dają poprawnego, rozłącznego podziału, to dzieje się tak nie dlatego, że taki musi być los wszelkich dystynkcji pojęciowych, tylko dlatego, że [ich] autorzy nie panują nad stosowanym przez siebie językiem” (*Z problemów logicznych analizy historycznej*, Poznań 1961, s. 17).

Zdarzenia, o których pisze historyk, w żadnym uchwytym sensie nie są „elementem” badania historycznego, nie stanowią też jego „punktu wyjścia”. Zaskakująco brzmi również zalecenie traktowania „faktu historycznego jako nośnika określonych informacji o przeszłości i nic ponadto” (s. 298) oraz uwaga o możliwości „weryfikacji (...) prawdziwości zaistniałych w przeszłości faktów” (s. 39). W *Historyce* stale mieszają się porządki — epistemologiczny i ontologiczny, języka i rzeczywistości pozajęzykowej. Sprawia to, że wywodom Mierzwy zagraża często błąd kategorialny.

Niekiedy, mimo osobliwych sformułowań i pojęciowego chaosu, udaje się uchwycić intencje autora. W rozdziale *Poznanie naukowe* natrafiamy jednak na fragment zupełnie nieczytelny, ułomny bowiem pod względem syntaktycznym:

... zajmujemy się procesem poznawczym, który nie tylko marksistowska teoria poznania (...) uznająca istnienie obiektywnej materialnej rzeczywistości, przypisuje wiedzy istotną rolę w procesie poznawczym. (s. 19)

Wady *Historyki* nie ograniczają się do defektów bezpośrednio związanych z niedostatkami kultury logicznej Autora. Rozdział XVI dotyczy krytyki zewnętrznej — podsumowując, Mierzwa stwierdza m.in.: „falsyfikat nie ma żadnej wartości źródłowej dla badania historycznego” (s. 289). Teza ta jest jawnie fałszywa. Przekonanie, że „wykluczone jest traktowanie falsyfikatu jako źródła” (s. 289) dziwi zwłaszcza wobec wcześniejszych uwag, dotyczących motywów i okoliczności fałszerstw. Kwestia źródłowego statusu falsyfikatów została adekwatnie przedstawiona w pracach, na które Autor *Historyki* często się powołuje i do których odsyła czytelników — szkoda, że w tym wypadku sam do nich nie sięgnął⁷.

Odmówiwszy falsyfikatom wartości źródłowej, Mierzwa dodaje: „nawet jednak najbardziej oryginalne źródło może zawierać fałszywe informacje” (s. 289). To oczywiście prawda (wątpić tylko można, czy cecha oryginalności w odniesieniu do źródła podlega gradacji). W kontekście wywodów Autora uwaga ta zdaje się wszakże sugerować, iż każdy falsyfikat zawiera zdania fałszywe. Jest to sugestia zwodnicza — z samego faktu, że dany tekst jest falsyfikatem, można wnosić jedynie o fałszywości pewnych zdań „o tym tekście” (dotyczących autora, czasu i miejsca powstania etc.). „Falsyfikat” należy ostatecznie do pojęć związanych bezpośrednio z oceną autentyczności tekstu, nie zaś wiarygodności jego twórcy.

Jeden z fragmentów rozdziału drugiego poświęca Edward A. Mierzwa na „przegląd osiągnięć nauki polskiej po II wojnie światowej” (s. 30–33). Sam pomysł godny jest pochwały — z wielu powodów warto, by studenci historii posiadali elementarne choćby rozeznanie w dorobku „najwybitniejszych twórców z innych dziedzin”. Niektóre rozstrzygnięcia autora są jednak trudne do przyjęcia: wśród głównych „osiągnięć w dziedzinie logiki i filozofii” (s. 32) Mierzwa wymienia twórczość Jarosława Ładosza — stawianie apologety tzw. logiki dialektycznej obok Ajdukiewicza, Kotarbińskiego czy Ingardena jest całkowitym nieporozumieniem.

⁷ Zob. M. Bloch, *Pochwała historii*, tłum. W. Jedlicka, Warszawa 1960 oraz W. Moszczyńska, *Metodologii historii zarys krytyczny*, Warszawa 1968.

Zupełnie nie przekonuje lansowana w *Historyce* odpowiedź na pytanie o społeczną rolę historiografii. Autor eksponuje „pragmatyczną funkcję historii” — „znajomość przeszłości ma służyć podejmowaniu wyborów i kształtowaniu przyszłości” (s. 53). Jest przekonany, że „tylko człowiek mający głęboką wiedzę i rozbudowaną świadomość historyczną (...) może podjąć właściwą, a nawet optymalną decyzję” (s. 12). Apeluje zwłaszcza do „ludzi publicznych”, by „uczuli się od historii” (wtedy „być może nie byłoby tylu następstw groźnych dla ludzkości” — s. 12). Ten punkt widzenia określa zarazem oczekiwania Edwarda A. Mierzwy wobec historyka, który „powinien używać swej wiedzy dla kształtowania przyszłości w najlepszym tego słowa znaczeniu [? — M.H.]” (s. 67). Zarysowane stanowisko ma po części charakter normatywny — polemika z nim nie może więc ograniczyć się do wskazania, że wielu historyków nie podziela ambicji Autora, a historiografia jedynie w nikłym stopniu kształtuje wizję świata współczesnego człowieka. Wątpliwości budzi samo założenie, na którym Mierzwa opiera swój „pragmatyzm”.

Przyjmuje on, że wiedzę dostarczaną przez dziejopisarstwo można łatwo wykorzystać dla zwiększenia efektywności naszych działań (w skali indywidualnej i zbiorowej). Analiza współczesnej historiografii nie uzasadnia takiego przekonania. Należy pamiętać, że z postulatem „uczenia się od historii” związane są określone założenia ontologiczne, epistemologiczne i metodologiczne. Nie daje się on pogodzić m.in. z tezami idiografizmu, zakłada bowiem istnienie prawidłowości dotyczących klas zdarzeń. Zakłada również, że historycy potrafią owe zależności rozpoznać i adekwatnie opisać. Jego realizacja wymaga tedy nastawienia na tworzenie i stosowanie teorii w badaniach historycznych. Takie podejście jest obce większości historyków — ich prace mają niewiele do zaoferowania, gdy chodzi o wybór skutecznej strategii działania.

Niektórzy badacze starają się jednak uprawiać historię teoretyczną. Czy okoliczność ta nie wystarcza dla uprawomocnienia oczekiwań Mierzwy wobec dziejopisarstwa? Jego „pragmatyzm” natrafia tu na istotną przeszkodę — historiografia o ambicjach teoretycznych rozpada się na szereg stanowisk, oferujących odmienne wizje rzeczywistości społecznej. Mamy więc do czynienia z mnogością „pouczeń”, często nie dających się uzgodnić — bardzo trudno rozstrzygnąć, które z nich należy brać pod uwagę w dziele „kształtowania przyszłości”⁸.

Warto również pamiętać, że historycy przejmują nieraz teoretyczne schematy z innych dziedzin nauki. Wtedy jednak nie „uczmy się od historii”, lecz — jeśli w ogóle — od socjologii, ekonomii, psychologii społecznej lub antropologii kulturowej. Wszystko to sprawia, że „pragmatyczna” apologia historiografii rodzi poważne trudności, których Edward A. Mierzwa zdaje się nie dostrzegać⁹.

Ograniczenia *Historyki* dobitnie ujawnia jej porównanie z pracami obcojęzycznymi. Niemal wszystkie nowsze wprowadzenia do badań historycznych uwzględniają przemiany we współczesnej historiografii i filozofii historii. Nie oznacza to bynajmniej, że są bez

⁸ Próby rozstrzygnięcia wikłają nas bowiem z reguły w skomplikowane spory filozoficzne, dotyczące m.in. adekwatnej ontologii świata społecznego.

⁹ Mierzwa rozbrajająco zaznacza: „osobiście (...) preferuję pragmatyczną funkcję historii, ponieważ taki jest mój subiektywny wybór, z którym nie każdy musi się zgadzać, ale każdy powinien go akceptować” (s. 53).

reszty inspirowane konstruktywizmem lub eksponują wyłącznie twórczość Foucaulta, Darntona czy Simona Schamy. Ukazują natomiast zróżnicowanie historiografii końca XX wieku — informują o założeniach i osiągnięciach poszczególnych jej nurtów (od klasycznej historii politycznej po historię oralną). Dają również orientację w najważniejszych ideach współczesnej teorii historii — sygnalizują (często w sposób krytyczny) konsekwencje „zwrotu językowego” w refleksji nad rezultatami pracy historyka. Kształtują w ten sposób kulturę metodologiczną adeptów nauki historycznej.

Historyka nie wykracza pod tym względem poza wąski horyzont wielu rodzimych podręczników. O zróżnicowaniu historiografii współczesnej nie pisze się tu wcale. Omówienie „kierunków badań historycznych” (s. 56–59) zostaje sprowadzone do wyliczenia tradycyjnych dyscyplin i specjalizacji (historia polityczna, gospodarcza, społeczna, wojskowości itd.). Próżno też szukać w *Historyce* choćby wzmianki o współczesnej teorii historiografii — krótki przegląd stanowisk w kwestii „zakresu i przedmiotu badawczego nauki historycznej” kończy opis materializmu historycznego, który „kieruje się w badaniu czterema cechami dialektyki” (s. 48).

Czytelnik może odnieść wrażenie, iż ostatnie półwiecze nie przyniosło żadnych idei godnych odnotowania. Ten grzech, na równi z innymi, obciąża konto Autora i pokazuje, że przyjęta przez niego strategia (ograniczenie do minimum kwestii teoretycznych) nie zdaje egzaminu¹⁰. Dużo uwagi poświęca natomiast Edward A. Mierzwa atrakcyjności swego tekstu. Chwalebna to troska, zwłaszcza że wiele podobnych opracowań zniechęca nudnymi wywodami. Autor znalazł dwa sposoby, by zainteresować czytelnika. Po pierwsze — wprowadza liczne przykłady, które ożywiają wykład nie zawsze przecież pasjonujących zagadnień warsztatowych. To bodaj najmocniejsza strona *Historyki*, korzystnie wyróżniająca ją na tle rodzimej literatury przedmiotu.

Drugi pomysł nie budzi już takiego entuzjazmu. Polega on na uzupełnieniu głównego tekstu o rozważania, które sam Autor nazywa — skromnie i trafnie — „dywagacjami”. Mierzwa chce pokazać czytelnikowi, jak „tworzyć nowe wartości, także w nauce” (s. 22). Sprawa jest całkiem prosta — „jeśli mamy chociaż cień przesłanki, wówczas możemy popuścić wodze fantazji” (s. 22).

Zaczynamy w starożytnej Piramidzie Słońca (s. 16). Jeden z naskalnych rysunków skłania Autora do postawienia następującej hipotezy: „znaczyć to by mogło, że przedstawiona (...) istota potrafiła neutralizować grawitację”. Możliwość istnienia w dawnym Meksyku „antygravitacyjnych sfer” to zresztą „żadna rewelacja, nauce ten problem jest znany”. Mierzwa bez wahania proponuje „nowe prawo nieciężenia” i radośnie dodaje: „Eureka! Proste?” Nawet za bardzo.

Czytelnik z trudem tylko zdoła ochłonąć, gdy Autor podsuwa mu już nową ideę. Mamy oto dobre powody, by odrzucić teorię ewolucji. Ludzie, o czym wiadomo od dawna, lewitują. Kto jednak widział lewitującą małpę? — pyta dramatycznie Mierzwa. Nikt zgoła. Jasne jest tedy, że człowiek od małpy pochodzić nie może. To jeszcze nie koniec dobrych wiadomości:

¹⁰ W liczącej ponad sto pozycji bibliografii *Historyki* znajdujemy trzy obce prace z zakresu metodologii historii. Najnowsza z nich to *Pochwała historii* Marca Blocha. Przy wszystkich swych zaletach, ma ona jedną wadę: została napisana blisko sześćdziesiąt lat temu.

... jeśli kiedyś (...) była podobno możliwa lewitacja, przemieszczanie się z miejsca na miejsce bez pojazdu ziemskiego lub kosmicznego, to znaczy, że w każdym z nas tkwi ten potencjał, tylko nie potrafimy go uaktywnić. (s. 16)

Naiwny Darwin, regularnie przemieszczając się z miejsca na miejsce bez pojazdu ziemskiego i kosmicznego, nie podejrzewał nawet, że falsyfikuje w ten sposób własną teorię.

Najważniejsze dopiero przed nami — Autor *Historyki* proponuje teraz śmiałą interpretację platońskiego dialogu (s. 22). Przypis odsyła nas do *Fedona*. Dzieło to nie jest wprawdzie „ostatnim dialogiem, jaki ów Grek przed śmiercią napisał”, chętnie jednak ignorujemy drobne nieściśłości, gdy w grę wchodzi intrygująca hipoteza¹¹. Mierzwa przywołuje uwagę Platona o egipskich kapłanach, którzy pobłażliwie odnosili się do Greków¹². Co decydowało o ich przewadze? „Świadomość znacznie wyższego rzędu”, być może nawet „w wymiarze kosmicznym”. Czego ona dotyczyła? Zapewne wiedzy, „pozostawionej przez kogoś, kto był tu wcześniej, kto był potężny wiedzą, kto ową wiedzę przekazał człowiekowi na Ziemi” (s. 22).

O kim mowa? Zapytajmy inaczej: czy „przypuszczenie Ericha von Dänikena o wizytach kosmitów na Ziemi w zamierzchłej przeszłości możemy traktować w kategoriach naukowych”? Nie ulega wątpliwości, że „Däniken ma prawo do postawienia takiej hipotezy” (s. 271). Czy mamy podstawy, by uznać je za prawdziwe? Owszem — Däniken „zebrał wiele interesujących przesłanek, które wydają się mieć logiczne umocowanie, co czyni tę hipotezę bardzo prawdopodobną” (s. 271).

Podsumujmy: nie pochodzimy od małpy, mamy ukryte zdolności lewitacyjne, a założycielami naszej cywilizacji są najpewniej kosmici. To już coś — zwłaszcza jak na akademicki podręcznik dotowany przez MEN i KBN. Dodajmy jeszcze, że „w przyszłości człowiek będzie musiał rozwinąć telepatyczny kanał porozumiewania się” („nic nowego, czynił to już zapewne pitekantropus” — s. 72).

Tak oto powstają „nowe wartości” w nauce. Niestety — ubolewa Autor — prawie wszyscy badacze przeszłości (wyjątek to Däniken i jego zwolennicy) „są wyznawcami swoistego „idealizmu subiektywnego” a nawet „solipsyzmu” odnoszącego się do historii naszej cywilizacji” (s. 20). Błąd „subiektywnych idealistów dziejowych” (s. 21) polega na tym, że nie chcą uznać twierdzeń, których nie mogą uzasadnić. A przecież nie uzasadnienia są ważne, lecz śmiałe pomysły w duchu Mierzwy i Dänikena. Dlaczego tylko nieliczni idą ich śladem? Najwyraźniej zbyt wielu przejmuje się jeszcze postulatem Ockhama i zamiast „popuścić wodze fantazji” naiwnie wierzy w wyjaśnienia konwencjonalnej nauki. Być może badacze wychowani na *Historyce* pozbędą się wreszcie tych ograniczeń.

Autor liczy się z tym, że „niektóre dywagacje zawarte w tej książce” zostaną odebrane jako „zbyt śmiałe bądź niezupełnie przekonujące” (s. 10). Pozostaje nadzieja, iż takie wrażenie stanie się udziałem większości jej czytelników.

Uwagę przyciąga styl *Historyki*, wyraźnie odbiegający od innych prac o zbliżonym profilu. Mierzwa jest zwolennikiem „barwności językowej i stylistycznej” (s. 318). Niekiedy daje to efekt zaskakujący — w jednym z rozdziałów czytamy: „dawna historia

¹¹ *Historyka* informuje, że Platon zmarł w roku 327 p.n.e. — choć więc pochopnie zamyka jego literacką karierę na *Fedonie*, dodaje w zamian dwadzieścia lat życia.

¹² W przywołanym przez Mierzwę dialogu nie ma o tym mowy.

była nauczycielką życia w dosłownym sensie, dopóki włoski historyk Lorenzo Valla (...) nie dobrał się do niej i nie rozpoczął jej krytycznego rozbioru” (s. 11). Włoch dobierający się do nauczycielki (życia) i dokonujący jej rozbioru (krytycznego) — czy trzeba czegoś więcej, by przekonać studentów o atrakcyjności historii?

Humor łączy się u Mierzwy z patosem: „gdyby wreszcie zwykli ludzie brali z historii to, co najlepsze, świat zapewne byłby inny” (s. 12). Być może — chciałoby się wszakże wiedzieć, co w historii jest najlepsze i na czym dokładnie owo „branie” ma polegać. Tego Autor nie mówi. Uprzytamnia nam za to, że „poznawanie przeszłości nie powinno skutkować w eksplozji nienawiści, nie powinno służyć międzynarodowej vendecie, która ma miejsce w wielu punktach naszego globu” (s. 13). Istotnie — nie powinno.

Gdyby *Historyka* była wolna od poważnych błędów formalnych i merytorycznych, łatwiej wybaczylibyśmy Autorowi słabości stylu, a nawet przywiązanie do Dänikena (dziewięć pozycji w bibliografii). Praca obarczona jest jednak licznymi defektami, które każą wątpić w jego przygotowanie i dyskwalifikują *Historykę* jako podręcznik. Zalety książki — sporo praktycznych wskazówek oraz liczne przykłady — nie równoważą jej wad.

Dobre chęci i doświadczenie zawodowego historyka to za mało, by napisać rzetelne wprowadzenie do badań historycznych. Oto bodaj najważniejszy morał z nieudanej próby Edwarda A. Mierzwy.